

# 70. rocznica bitwy o Monte Cassino

**P**o postanowiłem, że jadę. Parę dni rozważałem za i przeciw. Jadę. Połącznie kolejowe z Roma Termini do Cassino jest dobre. Jedyne 9 euro. Zgodnie z włoskim zwyczajem z Rzymu jedzie się godzinę i 30 minut, z powrotem 2 godziny, mimo że droga ta sama i pociąg staje na tym samym stacjach – ot, włoskie widzisz (folklor). Pociąg wygodny, pełen komfort, niespotykany w Polsce nawet w wagonach pierwszej klasy. Za oknem piękne widoki. Wzgórza porośnięte zielenią, rozległe tereny pokryte gdzieś trawą i tylko gdzieś w oddali, raz wyżej, raz niżej, wylaniają się na stokach wzgórz osiedla ludzkie, jakby murarz pacnął szpachlą i tu i ówdzie beton przykleiłby się do zbocza góry. Przyjemne majowe słońce, ciepło. Dopiero gdy zbliżamy się do celu, jest jakoś inaczej. Wzniesienia Piedemonte zatrzymują chmury, szczytów nie widać w ogóle, wokoło gór ciemne pola. Racje miał Wańkiewicz, pisząc w swych wspomnieniach, że ten obraz przypomina starożytny stos ofiarny, z którego wciąż unosi się dym. Tak, to właśnie w tym rejonie odbywały się najcięższe walki siedem dekad temu. To tu i na wzgórzu Cassino, nad którym króluje klasztor, toczyły się najcięższe boje. W tej bramie do Rzymu oddało życie 1052 polskich żołnierzy, a przecież zginęli także Anglicy, Nowozelandczycy, Kanadyjczycy, Francuzi, nawet i Hindusi w służbie brytyjskiej.

Wysiadam na dworcu w Cassino. Pierwsze wrażenie – uderza mnie powiew chłodnego, rzeńskiego powietrza. Wychodzę z dworca. *Gdzie iść dalej?* – myślę. Podchodzę do grupy Włochów kręcących się opodal. – Przepraszam, którą na plac Andersa? – pytam włoszczyzną pełną słowiańskiego akcentu. Jeden ze starszych mieszkańców miasta mówi: Chodź za mną. Idę. Prowadzi mnie do swojego kiosku nieopo-

dal. Wręcza mi mapę miasta. Wyciągam portfel, chcę płacić. – Nie żartuj – mówi do mnie jegomość. – Od swoich nie biorę, jestem synem polskiego żołnierza, nazywam się Bergman – mówi po włosku, choć jakoś tak swojsko robi się nam obu na sercu. Pyta, skąd jestem.

– Di Poznan – odpowiadam. Widzę jednak na jego twarzy konsternację.

– Daleko to od Sandomierza? – pyta w języku Petrarcki.

– Tak jak z Cassino do Florencji – opowiadam i obaj się śmiejemy.

Próbuje coś jeszcze mi powiedzieć: – Szczymaj się, kłopie!

Znając co nieco język włoski i wymowę, rozumiem, że mówi: „Trzymaj się chłopie!”. A ja mu na to: – *e Forza per te amico!*

Widzę, że się cieszy i ja też. Kiwamy sobie, idę dalej.

Dochodzę do placu, gdzie już na trybunie siadają goście honorowi – kombataneci z Monte Cassino. Jest to moment wielkiego wzruszenia. Ile ci ludzie przeszli... Przecież Monte Cassino to tylko jeden z etapów ich tułaczego życia. W 1941 r. wyszli z Andersem z łagrów

Związku Radzieckiego, później Afryka, Tobruk, Palestyna i dopiero Monte Cassino.

A przecież to nie był koniec... Przecież szli dalej: Ankona, Loreto i jeszcze dalej przez całą kampanię włoską. Monte Cassino to tylko późniejszy symbol tych wszystkich walk.

W pierwszym rządzie córka gen. Andersa, Anna Maria Anders, obok prezydentowa Karolina Kaczorowska z Londynu, dwóch ministrów z Polski, rodziny kombatanatów etc. Wokoło trybuny morze czerwonych i czarnych беретów – to harcerze i skauci z Polski, przybyli, by oddać hołd poległym, starszym o dwa pokolenia kolegom. Władze miasta Cassino (burmistrz, rajcy miejscy z szarfami w barwach włoskiej flagi – biało-czerwono-zielonymi).

Orkiestra wojska włoskiego zaczyna grać polski hymn. Nigdzie chyba tak jak tu, w Monte Cassino, nie brzmią doniosłe i prawdziwie słowa: z ziemi włoskiej do Polski.

Przemówienia – lepsze, gorsze, rocznicowe. Wzruszające były słowa gen. Czuściewskiego z Londynu (lat 94):



**Nowy pomnik gen. Wł. Andersa w Cassino**



**Trybuna honorowa podczas uroczystości**

– Dziękuję wszystkim za to, że tu jesteście. Proszę, nie zapominajcie o tej jednej z najpiękniejszych kart polskiej historii. Dbajcie zawsze o honor i godność, pamiętajcie o nas, którzy chcieliśmy wam torować drogę do lepszej przyszłości. Niech żyje Polska!

Następnie odsłonięcie pomnika gen. Władysława Andersa przez gen. Chruścielewskiego, córkę gen. Andersa i przedstawiciela związku żołnierzy 2. Korpusu z USA.

Przez megafony puszczono nagrane w 1969 r. przemówienie Andersa, ostatnie przed śmiercią, do jego żołnierzy. Wszystkich ogarnia wielkie wzruszenie, szczególnie gdy z nagrania słyhać słowa: „(...) wszystkim mówcie, że to nasze zwycięstwo. Gdy mówię nasze, mam na myśli nie tylko was i siebie, mam na myśli wszystkich Polaków i każdego z osobna. Niech każdemu pokoleniu synów i córek polskiej ziemi będzie wiadome, że tu na grobach naszych jest wspólny napis: Przechodniu, powiedz Polsce...”.

Dalej jubileuszowo – medale, peany, mowy okolicznościowe.

Na koniec wspólnie zaśpiewana pieśń: Czerwone maki na Monte Cassino...

Koniec części pierwszej uroczystości. Teraz trzeba się dostać na górę, do opactwa, ale z miasta Cassino to 7,5 km pod górę. Podwiezienie proponuje mi miła pani, mówiąca po włosku, w samochodzie okazuje się, że to córka red. Karola Kleszczyńskiego, żołnierza Andersa, znanego działacza polonijnego. Niestety,

prawie nie mówi już po polsku, przypadkiem dowiaduję się później, że jest lekarzem psychiatrą, prezesem Stowarzyszenia Polskich Lekarzy we Włoszech.

Jedziemy długo, cały czas drogą serpentyn, po drodze wciąż w głowie kołaczę się jedna myśl: – Jak oni tu szli te 70 lat temu? Przecież tu są tylko same skały, grama cienia, żadnego drzewa, krzaka, nawet z ziemi wystającego patyka. A Przecież Niemcy byli na górze, w klasztorze. Każdego wspinającego się żołnierza mieli jak na widelcu, a jednak to naszym się udało. *Oj!* – złapałem się wtedy na tym. *Naszym się udało, wśród naszych był brat dziadka Leonarda – Ta-*

*deusz z brygady Karpackiej, a przeciw u „nich” na górze był Alex i Max Hentschlowie, bracia cioteczni dziadka Leszka. Ot, miejsce niezwykle* – pomyślałem. Tadeusz miał w czasie bitwy 24 lata, Max 22, Alex 18... Trzech młodych ludzi, dwóch zginęło, by jeden mógł przeżyć. Ciekawe, nawet przez chwilę do głowy mi nie przyszło, by ich osądzać. Tak zwyczajnie – Monte Cassino ma swą kartę w historii rodziny.

Tak wśród rozważań dotarliśmy na miejsce – przed bramę cmentarza polskiego. Czekamy. Przed wejściem na cmentarz ustawiono kilka rzędów krzeseł. Autobus przywozi kombatantów. Siadamy. Znow czekamy. Jedna z kom-



**General Antoni Chruścielewski i Anna Maria Anders**

batantek kręci się niecierpliwie: – No, chyba w końcu się pojawi.

W tym momencie podjeżdżają samochody rządowe i zjawia się premier Tusk. Znów przemówienia. Prezes Związku Takiego A Takiego, premier, Taki a Taki pan z Tego, a Tamtego Związku, Pani X z Y. Widzę po twarzach siedzących obok żołnierzy Andersa, że mają już dość. Gdy po raz kolejny ktoś dziękuje im przy mikrofonie, za to, że są Niezwycięzonymi Rycerzami, słychać głośny szepot jednego z kombatantów: – Jakbyś nas pan wtedy widział, to byś pan nie myślał nawet, że tacy niezwykcieżeni jesteśmy! – śmiech. Im już nie zależy na komplementach, widać, że cieszą się z bycia razem. Po tyłu przejściach. Jedni po walce wrócili do kraju, widać, że życia nie mieli usłanego różami, inni z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii – ci to kombatanci jak z obrazka, świeży, kolorowi, a jednak czuje się między nimi całkowitą równość. Serdecznie patrzą na siebie, zaglądają sobie w oczy, szukając śladów dawnych przyjaciół. W końcu jeden nie wytrzymał, wstał, by udać się do toalety, po chwili ruszyli niemal wszyscy kombatanci – mieli już najwyraźniej dość słuchania i my młodsi też.

Teraz kolejna trudność – muszę wrócić na dół, do miasta. Stałem z boku małego placu, nieopodal krzeseł, gdzie przed chwilą siedzieliśmy. Zbierają najpierw kombatantów do autobusu. Podchodzi do mnie młody pułkownik: – Jeżeli wybiera się pan do Cassino, proszę z nami.

Jestem zaskoczony, ale idę, nie mam przecież i tak jak wracać. Tuż przed wejściem do autobusu podchodzi do mnie starszy mężczyzna, Włoch.

– Czy pan jest Polakiem? – pyta po włosku.

– Tak – odpowiadam.

– Wspaniale, proszę pana. Kocham Polskę, napisałem dla was pieśń, o Monte Cassino, tak bardzo jestem wam wdzięczny – mówi.

– Bardzo dziękuję. – Zabieram wręczoną mi partyturę i tekst. – Jestem pracownikiem Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych. Zapewniam, że pański utwór wzbogaci nasz zbiór materiałów dotyczących Monet Cassino – dodaję, ściskając mu dłoń.

– Dziękuję – odpowiada. – Napisałem już kiedyś pieśń o Polsce i Janie Pawle II, wykonano ją nawet w radiu Watykańskim – chwali się Włoch. – Tak bym chciał, by moja wnuczka wyszła za Polaka. Może pan jest kawalerem? – pyta mnie, co mnie strasznie rozbawia.

– Tak, jestem – odpowiadam.

– O, świetnie się składa! – mówi domorosły kompozytor.

Gdy wręczam mu moją wizytówkę z adresem instytutu, mówi: – Moja wnuczka ma wprawdzie dopiero 7 lat, ale za dwadzieścia lat do pana zadzwoni!

– Dziękuję bardzo! – odpowiadam, wsiadając do autobusu, w którym ludzie są już rozbawieni deklaracjami muzyka.

W autobusie siadam obok kombatanta z USA. Przemily porucznik Tomasz Ż., kawalerzysta, lat 91. Trochę wspomina po drodze. – Najgorsze wspomnienie, jakie czasem mnie męczy, to widok Hindusa, którego słońce wysuszyło na wiór, nad jego głową w skałę wbity był niewypał z niemieckiego działa. Biedak dostał się w taki punkt, że nie mógł się ruszyć w prawo ani w lewo, bo wtedy byłby na linii niemieckiego strzału, i tak po prostu został – opowiada. – Był to żoł-

nierz z pierwszego natarcia, jeszcze przed naszym szturmem. Takiego już wyschłego go znalazłem – wspomina.

– Mieliśmy straszego sierżanta, zdaje się, że był to Kaszub – opowiada – ale zmobilizować to nas umiał. W czasie szturmego kolega z oddziału dostał w nogę i krzyczy do sierżanta: „Sierżancie, jak ja teraz polezę do przodu?”. Sierżant na to: „Mieciu, nie zmuszaj mnie, żebym do ciebie podbiegł, na nodze nie możesz, to się na dupie czołgaj!”.

Widać, że humor porucznika nie opuszcza. Nagle wstaje i mówi do pułkownika, który mnie zaprosił do autobusu: – Panie pułkowniku, zapraszam pana na przyjęcie, obowiązuje strój służbowy. Przyjęcie będzie w Warszawie. Czy wie pan pułkownik, jak nazywa się takie przyjęcie wydawane na cześć kombatanta?

Pułkownik odpowiada skonsternowany: – Nie.

– Stypa! – wyjaśnia Ż.

W autobusie pewna pani rozdaje zaproszenia na wieczorny koncert polskich pieśni patriotycznych w centrum Cassino na placu, porucznik Ż. pyta ją: – Pośpiewać to ja też lubię, ale czy babki jakieś będą?

Zaskoczona kobieta odpowiada: – Tak, oczywiście, będą.

Porucznik mruga i mówi: – To podjadę wózkami, to zawsze na babkach robi wrażenie!

Cały autobus gruchnął śmiechem.

Dojechaliśmy do Cassino. Dziękuję. Wsiadam. Wracam pociągiem do Rzymu. To był piękny dzień. Pełen polskich wzruszeń i kropli pięknego przedwojennego humoru.

RZYM, 18.05.2014 R.  
MIKOŁAJ PUKIANIEC